

Izabella Agaczewska

MAGICZNY ELIKSIR



Ilustracje

Iwona Pastuszka-Vedral

Tekst © Copyright by Agnieszka Imiołek

Wydawca © Copyright by Agnieszka Imiołek, Kraków 2023

www.izabellaagaczewska.pl

Redakcja i korekta: RKS Janusz Muzyczyszyn

Ilustracje i projekt okładki: Iwona Pastuszka-Vedral

Skład i łamanie: RKS Janusz Muzyczyszyn

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

ISBN 978-83-966158-2-4

*Z ludźmi jest tak jak z zegarkami!
Najważniejsze jest to, co mają w środku.
Jan Brzechwa, Tryumf pana Kleksa*

*„Magiczny Elixir” dedykuję
TYM,
którzy muszą mierzyć się
z brakiem akceptacji i zrozumienia,
TYM,
którzy doświadczają
nienawiści i wykluczenia.*

NIE PODDAWAJCIE SIĘ!

PROLOG

Był czerwcowy, pogodny dzień. W to piątkowe popołudnie czuć było już nadchodzące lato. Pani Ela porządkowała biurko, chowała zeszyty do siatki. W weekend będzie sprawdzać wypracowania klasy III c. Wybrała bardzo ważny i INSPIRUJĄCY (zachęcający do działania) temat: „Moje marzenia”. Była ciekawa, o czym napisali jej uczniowie, czego pragną. Uśmiechnęła się na wspomnienie swoich dziecięcych marzeń o gumie Donaldzie i obejrzeniu filmu z Bruceem Lee, który był jej idolem. Jak na dziewczynkę było to dość dziwne, jednak posiadanie o trzy lata starszego brata zobowiązywało.

Rozejrzała się po klasie, przeszła między ławkami. Dosunęła niektóre krzesła, podniosła z podłogi zgubiony długopis i gumkę. Pod oknem znalazła zmiętą kartkę. Rozprostowała ją i zaczęła czytać. Uniosła brwi ze zdziwienia, rozpoznała pismo. Zastanawiała się, co z tym zrobić. Wyrzucić? Już zmierzała w stronę kosza, jednak zmieniła zdanie. Wsunęła kartkę do siatki wypełnionej zeszytami. Coś ją w tej notatce zaniepokoiło. Postanowiła porozmawiać z jej autorem w poniedziałek.

Wyszła z klasy i zamknęła drzwi na klucz.



MARZENIE MARCELINY

Marcelina o niczym innym nie marzyła. Śniła tylko o jednym. Gdyby za spełnienie swego pragnienia musiała oddać wszystkie zabawki, telefon, a nawet rower, zrobiłaby to bez wahania. Gdyby była choć najmniejsza szansa... Jednak powoli traciła już nadzieję.

A Wy macie marzenia? Pragniecie czegoś tak bardzo, że nieważne co musielibyście zrobić, albo ile poświęcić, byle tylko zdobyć to „coś”? Wymarzone, wyśnione, wyczekane, upragnione, najważniejsze w życiu...

Jedni chcą najnowszy model telefonu, inni komputer, ktoś psa lub kota... Marcelina marzyła o tym, by się czegoś pozbyć. Ogromnej, czerwonej plamy, która szpeciła jej twarz. Naczyniak plamisty – znamię, które umiejscowiło się na jej czole, prawej powiece i połowie policzka. Wyglądało jak rozgnieciona malina. Nie lubiła patrzeć na swoje odbicie w lustrze. A przecież musiała się co rano uczesać. Zapuściła długą grzywkę i zaczesywała ją na prawy bok, by starannie ukryć plamę. Włosy zasłaniały jej pół twarzy, utrudniając patrzenie przez prawe oko. Często zakładała dodatkowo czapkę z dużym daszkiem. A jeśli nie mogła jej ubrać, naciągała na głowę kaptur bluzy. Byle tylko

nikt nie zwracał uwagi na jej twarz. Chodziła ze spuszczoną głową. Nie lubiła patrzeć w oczy dorosłych i dzieci. Wszyscy byli tacy ciekawscy. Zadawali mnóstwo pytań, na które już nie miała siły odpowiadać. Koledzy i koleżanki w szkole wciąż jej dokuczali, wymyślali okropne przezwiska.

Mama i tata nie widzieli problemu, mówili, że jest ich księżniczką i wygląda pięknie jak z obrazka, ale ona wiedziała swoje. Tak... szczerze nienawidziła tej paskudnej, czerwonej PLAMY.

Rodzice tłumaczyli jej, że plama z czasem będzie coraz to bledsza, aż w końcu zniknie. Niestety, czas mijał, a plama wciąż była taka sama. Mama obiecała, że zabierze ją do znanego specjalisty, ale wciąż przekładała wizytę, bo wypadały różne ważne sprawy. Ważniejsze niż...

Dziewczynka wypróbowała już wszystkie sposoby, aby się tego znamienia pozbyć. Smarowała kremem wybielającym skórę, który znalazła u cioci w łazience. Niestety, było jeszcze gorzej, bo dostała uczulenia i jej twarz pokryła się swędzącymi krostkami. Kiedyś w przedszkolu tuż przed występem z okazji

Dnia Matki, postanowiła wysmarować się mąką, by ładnie wyglądać. Mąkę przyniosła z domu w woreczku. Jednak biały pył rozsypał się na całą jej twarz, włosy i ubranie, dostał się do oczu i nosa. Gdy wyszła na środek, by powiedzieć swój wierszyk, wyglądała jak duch, wszyscy się z niej śmiali. Zdenerwowana wychowawczyni porwała ją ze sceny, zaprowadziła do łazienki, by się umyła i otrzepała z mąki. Strasznie na nią nakrzyczała. Jednak nie to było najgorsze. Jej mama nie zdążyła na występ. Przyszła mocno spóźniona, gdy już nie było żadnego dziecka, tylko ona czekała sama cała zaptakana. Wstydziła się potem chodzić do przedszkola, bo dzieci dokuczały jej coraz bardziej. Przeżywały ją potworem z mąki. Prosiła rodziców, by jej pozwolili zostać w domu, nawet symulowała ból brzucha, ale na nic wszystko. Jeszcze przez całe dwa miesiące musiała uczyć się na zajęcia. Gdy była starsza, czasami podkradała mamie puder i delikatnie tuszowała nim plamę. Mama albo udawała, że tego nie widzi, albo nie zwracała na to w ogóle uwagi.

Marcysia szukała uparcie w internecie informacji, jak można pozbyć się naczyniaka. Czytała o laseroterapii, operacjach plastycznych

i przeszczepach skóry, ale nie miała odwagi, by porozmawiać o tym z rodzicami. Zresztą nie miałyby kiedy tego zrobić, bo tata i mama wciąż pracowali. Nawet wieczorami oboje ślęczeli przy komputerach.

Teraz jednak, zupełnie nieoczekiwanie, pojawiła się niepowtarzalna szansa na to, by pozbyć się plamy na zawsze.

NOWA SZKOŁA

Miesiąc temu przeprowadziła się wraz z rodzicami z Krakowa do Niepołomic. To miasteczko leżące między przepływającą nieopodal królową rzek – Wisłą a prastarą Puszcza Niepołomicką. Niegdyś w zamku znajdującym się niedaleko Rynku mieszkali królowie. Rodzice właśnie tutaj zdecydowali się wybudować dom. Marcysia cieszyła się z wyprowadzki z ciasnego mieszkania w bloku, ale zarazem bała się, co przyniesie ta zmiana. Jeszcze w kwietniu dojeżdżała do Krakowa na lekcje. Na szczęście z końcem miesiąca pożegnała się ze swoją klasą. Z wielką ulgą odchodziła z dawnej szkoły, bo w ciągu prawie trzech lat nie spotkało jej tam nic miłego. Ciągłe dokuczanie, wymyślanie nowych przezwisk, wyśmiewanie na każdym kroku. Nikt nie pamiętał nawet jej imienia. Lękała się tego, co może ją czekać w nowej klasie.

Gdy po raz pierwszy jechała na rowerze do szkoły był już maj, dookoła było bardzo kolorowo. Wiosna późno w tym roku zazieleniła i okwieciła ogrody oraz sady. Teraz nadrabiała stracony czas. Nagle wszystko zaczęło się zmieniać. Czuć było intensywny zapach kwiatów jabłoni, wiśni, bzu i czeremchy. Mijała domy, wysoki kościół, niewielki

Rynek wybrukowany kostką, zamek otoczony fosą, park z nowym placem zabaw.

Pierwszy dzień w szkole nie był taki zły, aż do tego momentu...

- Ech, czemu zawsze musi być tak samo - pomyślała wieczorem, gdy kładła się do łóżka.

Co takiego wydarzyło się w szkole?

Zaczęło się nawet fajnie. Pani Ela okazała się bardzo sympatyczna. Udawała, że nie widzi jej plamy. Nawet nie kazała ściągać Marcelinie czapki. Zresztą zaraz wychodzili na podwórko, bo była lekcja WF-u. Koleżanki i koledzy wydawali się mili. Chętnie się z nią bawili. Rozgorzała pełna emocji gra w dwa ognie. Szło jej świetnie. Tylko ona pozostała na boisku z jej drużyny. Musiała odeprzeć atak rywali. Na wprost niej stało dwóch chłopców. Jej zespół zaczął głośno skandować jej imię:

- Marcela! Marcela!

Atak był zawzięty, zwinnie unikała kontaktu z piłką, z poświęceniem rzuciła się na płytę boiska. Wtedy doszło do najgorszego. Czapka spadła jej z głowy. Nie zdążyła po nią sięgnąć, ubiegł ją Paweł. Podniosła się, a wtedy wiatr rozwał jej włosy i wszyscy zobaczyli plamę. Otoczyli ją i zaczęli zadawać pytania:

- Co ty masz na twarzy?

- Co to jest?

Marcelina przerabiała to tysiące razy. Szybko więc udzieliła odpowiedzi, by mieć to z głowy.

- Mam naczyniaka plamistego.

Nie musiała długo czekać na reakcję klasy.

- Okropieństwo - wykrzyknęła Dorota.

- Potworne - dodała Laura, śliczna dziewczyna o kręconych rudawych włosach i błękitnej sukience. Wyglądała jak modelka.

- Marcelina plamista - wypalił prosto z mostu Paweł i zaczął się głośno śmiać. Reszta klasy uznała najwyraźniej, że to świetny żart i zawtórowała koledze.

- Co tu się dzieje? - Wychowawczynie nie mogła przedostać się przez tłum. Uczniowie, słysząc jej głos, rozstąpili się na bok. Pani Ela stanęła przed Marcelą.

- Wszystko w porządku? - spytała. Dziewczynka skinęła głową. - A gdzie twoja czapka?

- Tutaj! - Paweł podał koleżance jej własność. Marcelina wcisnęła czapkę na głowę. Szybkim ruchem ręki otarła łzę. „Jeszcze tego by brakowało, by nazywali mnie mazgajem, do tego plamistym” - pomyślała dziewczynka.

- Bartek, Paweł i Franek! - zawołała nauczycielka. - Pozbierajcie piłki. Laura i Dorota! Wy dziewczynki weźcie paletki i lotki. Wracamy do szkoły.



Dzieci ustawiły się w pary. Nikt nie podszedł do Marceliny, stała na końcu.

- Marcelinko pomożesz mi zabrać kosz z frisbie - poprosiła pani Ela. - Pierwsza para rusza!

Klasa podążyła w stronę szkoły. Marcelina z wychowawczynią szły na końcu.

- Wiem, że początek w nowej szkole jest trudny - powiedziała nauczycielka. - Jeśli będziesz chciała ze mną porozmawiać, to zapraszam. Zobaczysz, będzie dobrze.

Niestety, nie było. Chociaż przy pani Eli koledzy i koleżanki zachowywali się poprawnie, to przy każdej nadarzającej się okazji słyszała głupie żarty.

- Marcelina plamista - wołał za nią Paweł. - Czy ty przypadkiem nie jesteś wampirem?

- Wampirką raczej - śmiała się Dorota.

- A może pijawką - dodał Bartek. - Która wypija za dużo krwi.

- Jesteś jakimś hematofagiem - chętnie się Franek swoją znajomością obco brzmiącego słowa, które oznaczało pasożyta żywiącego się krwią. - Kleszczem? Komarem? Meszką? Wiem! Kandyrą! To taka ryba w Amazonce, przypomina węgorza, choć jest od niego dużo mniejsza. Ma zaledwie kilka centymetrów. Wczepia się w skrzela innych ryb i wypija ich krew.

Miała wrażenie, że koledzy rywalizowali między sobą, który najbardziej jej dokuczy. Franek robił to wyjątkowo perfidnie, a Paweł i Bartek nie patyczkowali się, tylko rzucali przezwiskami jakie im przyszły na myśl.

Na jej ławce lądowały dziwne obrazki – potwory z plamami na ciele. Osobliwe dzieła Bartka, który zamiast uważać na lekcji, wciąż rysował bazgroły, na czym się dało. Wszystkie jego zeszyty i książki były pokryte różnymi grafikami. Kartki z głupimi wierszykami były autorstwa Doroty, czasem Laura pomogła znaleźć swojej przyjaciółce rym. Koleżanki chichrały się przez większość zajęć. Pani Ela co chwilę je upominała, aż w końcu zdecydowała, że Laura musi się przesiąść.

Marcela siedziała w ostatniej ławce pod oknem. Sama. Ktoś rzucił hasło, że plamą można się zarazić, więc nikt nie chciał dołączyć do nowej koleżanki.

Śmiechy i dogryzania kolegów bardzo ją bolały, ale nawet okiem nie mrugnęła na te zaczepki. Już nie takie okropieństwa słyszała na swój temat. Zsuwała czapkę jeszcze niżej, tak że daszek zasłaniał jej całą twarz.

Wiele razy wychowawczynie pytała ją, jak się czuje w nowej szkole. Koniecznie chciała

spotkać się z jej rodzicami, ale dziewczynka tłumaczyła, że są bardzo zapracowani. Nie skarżyła się nauczycielce, bo wiedziała, że to tylko może pogorszyć jej sytuację w klasie. Przy niej Marcela czuła się bezpiecznie. Widziała, że wychowawczynie wielokrotnie rozmawiała na osobności z tymi, którzy jej najbardziej dokuczali. Pani Ela miała siódmy zmysł, bardzo szybko zorientowała się, że jest coś nie tak.

Chyba rozmowy nauczycielki w końcu odniosły właściwy skutek, bo po dwóch tygodniach wszystkie wygłupy i niesympatyczne żarty się skończyły.

CO ZA SZCZĘŚCIE!

We wtorek na lekcji angielskiego niespodziewanie przysiadła się do niej Dorota.

- Przepraszam, że ci dokuczałam - powiedziała. - To nie twoja wina, że masz to coś na twarzy. Nie gniewasz się? Będiesz moją przyjaciółką?

Marcelina zdziwiła się, ale widząc sympatycznie uśmiechającą się koleżankę, postanowiła jej wybaczyć. Tak bardzo potrzebowała kogoś bliskiego.

- Oczywiście - ucieszyła się.

Na przerwie dołączyła do nich Laura. Koleżanki nie odstępowały jej ani na krok, były takie miłe. Paplały bez przerwy, opowiadały o szkole, o nauczycielach, o woźnej i uczniach. Ze szkoły wracały wspólnie, bo okazało się że mieszkają w tej samej okolicy. Jechały na rowerach okrężną drogą, by pokazać Marceli ulubione miejsca.

Marcelina od razu polubiła obie dziewczynki. Z podziwem patrzyła na Laurę. Koleżanka bardzo gustownie się ubierała, wszystko miała dobre kolorystycznie: od spinek we włosach, aż po sznurówki butów. Była też wręcz PEDANTYCZNA (nadmiernie dbająca o drobiazgi i porządek). Na każdej przerwie chodziła do łazienki, myła ręce, poprawiała włosy i ubranie.

Z kolei Dorota była bardzo mądra. Najlepsza uczennica w klasie, czym chętnie się chwaliła i trochę zadzierła nosa. Lubiła wytykać błędy innym. Nie przeszkadzało to Marcysi. Chętnie słuchała, co mówiła koleżanka, mogła się od niej dowiedzieć ciekawych rzeczy.

Następnego dnia pani Ela poleciła im stworzyć sześćosobowe zespoły i wspólnie przygotować plakat związany z lasem. Marcelina bardzo się zdziwiła, że do ich trójki dołączył Franek, Paweł i Bartek – chłopcy, którzy do tej pory najbardziej jej dokuczali. Teraz byli mili i pomocni. Bartek wykonał świetne szkice, które oni pokolorowali. Praca nad plakatem przebiegła szybko i wesoło.

Po lekcjach pojechali na rowerach na Rynek, usiedli w kawiarnianym ogródku i zajadali się lodami. Paweł wciąż opowiadał śmieszne historie. Marcela nie pamiętała, kiedy była taka szczęśliwa. Nigdy nie miała przyjaciół.

– Moja babcia zrobiła kiedyś lody lawendowe, pychota – powiedziała Dorota.

– A ja jadłem kiedyś lody o smaku majonezowym – rzucił Franek.

– Paskudztwo! – krzyknęła Laura.



- Pycha, nie znasz się. A prawdziwe paskudztwa robi babcia Pawła. Te jej wszystkie mikstury są okropne. - Franek wykrzywił twarz.

- Za to skuteczne - odparował urażony Paweł. - Pamiętasz, jak cię bolał brzuch? Babcia zaparzyła ziół i od razu ci przeszło.

- Przestań, nawet nie przypominaj, to było koszmarne. Gorzkie, ohydne i śmierdziąco jak stara skarpeta. Myślałem, że zwymiotuję. Ale fakt - brzuch przestał mnie boleć.

- Twoja babcia umie leczyć ziołami? - spytała zainteresowana Marcelina.

- I to jak? Pół miasteczka do niej przychodzi po radę. - Paweł wyprężył się dumnie.

- Jego babcia to wiedźma - zaśmiał się Bartek. Wyciągnął ołówek i zaczął szkicować na serwetce.

- Tylko nie wiedźma!

- No dobra, znachorka - powiedziała pojednawczo Laura.

- Szeptucha, jeśli już. - Paweł nie ustępował. - Tak pozwala o sobie mówić.

Marcelina słuchała z ogromnym przejęciem. Dorota zauważyła zainteresowanie koleżanki i postanowiła opowiedzieć kilka ciekawostek.

- Jego babcia ma taką specjalną księgę z sekretnymi RECEPTURAMI (przepisami).

Dzięki nim może wszystko wyleczyć. Nawet najgorsze choroby. Dlatego trzyma te przepisy w tajnej skrytce, żeby nikt ich nie wykradł.

- To prawda, mój młodszy brat całe dni płakał, jak się urodził – opowiadała z przejęciem Laura. - Lekarze ręce rozkładali, nie wiedzieli, co mu jest. A babka zielarka od razu przygotowała napar i coś tam poszeptala. Dała mu kilka kropelek do ust i Wojtuś przestał płakać. Gdy rodzice zapytali, co mu było, to powiedziała, że ktoś na niego urok rzucił i ona go odczyniła.

- Och – westchnęła Marcela.- To nieprawdopodobne.

- A jednak, mnóstwo ludzi jedzie na Błoto, by się leczyć u szeptuchy, nawet moja ciocia, która jest pielęgniarką – dodał Bartek.

- Tak, babcia ją wyleczyła z mig... migwe... – Paweł szukał brakującego słowa. – No z bólu głowy.

- Aaa, MIGRENY (ogromny ból głowy) – dopowiedziała Dorota i się zaśmiała, a wraz z nią Bartek, Franek i Laura.

- Przestańcie – złościł się Paweł. Nikt przecież nie lubi, gdy się z niego wyśmiewa. Marcela dobrze o tym wiedziała, dlatego wsparła kolegę.

- Migrena to trudne słowo, mnie się często myli z moreną...

- A szeptucha wygląda tak! - zawołał Bartek i pokazał swój rysunek. Przedstawiał jędzę z haczykowatym nosem, ogromnym kapeluszem i dwoma wielkimi zębami.

- Baba Jaga! - zawołała Laura.

- Och ty! - wściekał się Paweł i próbował odebrać szkic koledze. Jednak Bartek podał serwetkę Frankowi, ten rzucił ją do Doroty, a ta podała Laurze. Gdy rysunek trafił do Marcysi, dziewczynka oddała go Pawłowi. - Moja babcia tak nie wygląda - powiedział wściekły kolega i potargał serwetkę w drobny mak.

- Lepiej zjedzmy lody, bo się nam roztopią - zaproponowała Dorota. Przez chwilę jedli w milczeniu. Słysząc było tylko odgłosy chrupania wafelków. Jedynie Marcela nie pałaszowała lodów, tylko nad czymś intensywnie rozmyślała.

- Czy... - zaczęła i nagle urwała zawstydzona. - Nie, to chyba głupie.

- Czy co? - zaciekawiał się Paweł.

Marcelina wzięła głęboki oddech i zapytała:

- Czy twoja babcia mogłaby wyleczyć moją plamę?

Wszyscy spojrzeli na Pawła i czekali, co odpowie.

- Pewnie tak – odpowiedział z wahaniem kolega. – Zresztą, jak chcesz, to możemy do niej pojechać jeszcze dzisiaj.

- Jasne! Jedźmy! – ożywili się przyjaciele.

- Tylko to daleko, w lesie – ostrzegł Paweł. – Nie będziesz się bała?